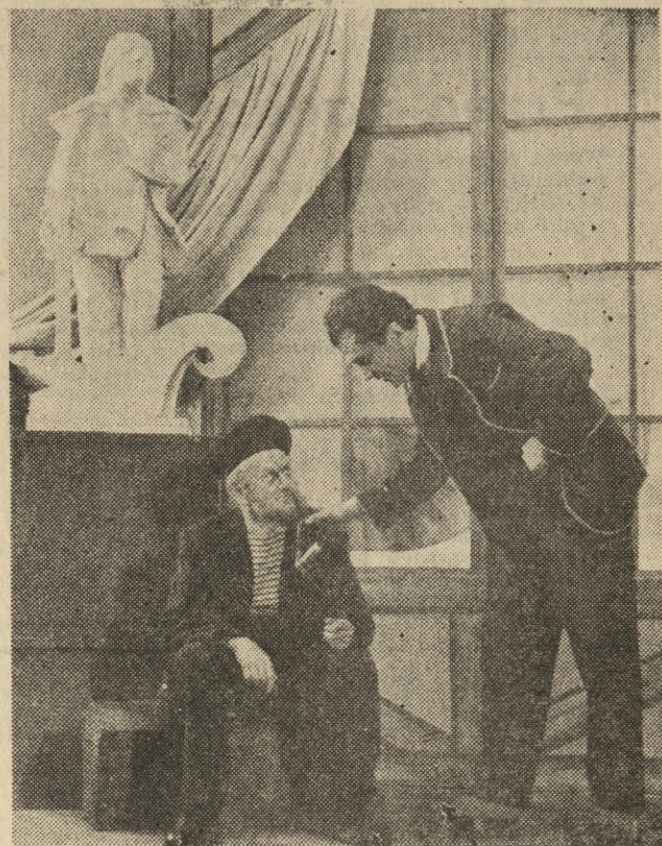




Pisarz — humanista

marł największy niemiecki pisarz minionego półwiecza. Ta wysoka ranga należy się Tomaszowi Mannowi bezspornie. Należał do tych twórców, wobec których wielkość i głębi stawało się z pełnym szacunkiem oniesmieleniem. Należał też do tych pisarzy, których dzieła nie tylko się podziwiano, ale i kochało jako książki najbliższe, najbardziej ulubione i najbardziej pobudzające. Był pisarzem światowym, znanym i czczonym wszędzie tam, gdzie szanuje się wartości humanistyczne. Miał od lat wielu wiernych czytelników także w Polsce. Tylko w jego własnej ojczyźnie hitlerizm pozbawił go obywatelstwa i skazał na emigrację.

Tomasz Mann był stałym poszukiwaczem humanizmu w mieszczańskim świecie niemieckim. Stosunek artysty do mieszczaństwa i odwrotnie był jedną z głównych centralnych spraw w jego

mokrata Settembrinim a wychowankiem jezuitom, zwiastunem faszyzmu, Naphią. W postaci Hansa Castorpa mamy portret mieszczańskiego inteligenta, pozostającego bezsilnym i bezbronnym wobec rzeczywistości. W późniejszych nowelach Mann wracał jeszcze do tematu tej bezbronności inteligentów, którzy nie chcieli Hitlera, ale go spokojnie słuchali.

Na emigracji pisze Tomasz Mann czterotomowy cykl powieściowy „Józef i jego bracia” (1933—1943), wiele artykułów antyfaszystowskich oraz piękną powieść „Lotta w Weimarze” (1939). Lotta, to Charlotta Buff, ta sama, do której młody Goethe pisał nieszczęśliwą miłość, co stało się bodźcem do napisania „Cierpień młodego Werthera”. W książce Manna Charlotta przybywa do Wei-

maru w r. 1816, gdy Goethe miał już 67 lat. Na tie jej kilkutygodniowego pobytu w tym mieście Mann przedstawia postać Goethego jako najwyższe wcielenie postępowych i humanistycznych sił mieszczaństwa niemieckiego. Uczynił to wtedy, kiedy mieszczaństwo to w czasach hitlerizmu spadło na najniższe dno barbarzyństwa. Powieść ta była nie tylko pocieszeniem w czasie najokropniejszego samoponiżenia się Niemiec, ale i wezwaniem do lepszej przyszłości.

I wreszcie ostatnią powieścią Tomasza Manna był „Doctor Faustus” (1947). Jej bohaterem jest znów człowiek o duszy artysty, obdarzony talentem muzycznym jak Hanno Buddenbrook, skrajny indywidualista, żyjący poza społeczeństwem. W swym wyrafinowanym, dekadentkim i aspołecznym artystostwie kończy ostatecznie obłędem. „Doctor Faustus” posiada bogactwo myśli filozoficznej tak olbrzymie, że nie można go porównać z żadną inną powieścią w literaturze świata. Zajmuje się ogromną mnogością problemów, także losami narodu niemieckiego, choć Tomasz Mann sam wpłatał w sprzeczności swej epoki nie potrafił dać jasnej odpowiedzi co do przyczyn takiego właśnie biegu tych losów. Ta powieść o muzyku ma w sobie też coś z muzycznej kompozycji. „Muzycznie” skomponowane i zharmonizowane są zresztą również inne utwory Manna.

W roku bieżącym Tomasz Mann obchodził 80-lecie urodzin. Było to święto uroczyste czczone w Niemieckiej Republice Demokratycznej, gdzie Manna przyjmowano z najwyższym uznaniem i miłością. W Weimarze wygłosił

on odczyt o Fryderyku Schillerze w 150 rocznicę jego śmierci. W ostatnich latach swego życia nadal występował stale przeciwko polityce przygotowań do nowej wojny. Wypowiadał się za współpracą między Niemiecką Republiką Demokratyczną a Niemiecką Republiką Federalną.

Cały świat kulturalny przyjął z najgłębszym smutkiem wiadomość, że autor „Czarodziejskiej góry” nie żyje.

A. G.

Zielonogórskie wrażenia

Od Dickensa do Szaniawskiego

O Zielonej Górze można powiedzieć, że tam wszystkie drogi prowadzą do... teatru. I rzeczywiście, budynek teatralny znajduje się w samym centrum miasta, tuż przy skrzyżowaniu kilku głównych ulic.

Kolumnada wysokiego frontonu króluje tu niepodzielnie wśród zieleni rozrośniętych drzew.

W odświeżonych gablotkach fototy i afisze i to afisze sześciu spektakli. Jakto: aż sześć przedstawień? I to teraz, w letnim sezonie?...

Wzrok ślizga się z jednej kolorowej karty na drugą: „Swierszcz za kominem”, „Zeglarski”, „Młodość ojców”, tam znowu Fredro, Bernard Shaw... Za chwilę wszystko się wyjaśni.

Oto w Zielonej Górze odbywa się przegląd repertuaru z ostatniego półroczia. Niedawno tu, ale bardzo pożyteczny zwyczaj.

Elżbieta Libiszowska

Przed wszystkim teatrowi daje to sposobność głębszej analizy repertuarowej, wykazuje, czy teatr zachowuje słuszne proporcje między komedią, dramatem, repertuarem współczesnym i klasycznym itd. Wielu widzów ma możliwość obejrzenia spektakli, których z tych, czy owych powodów nie widzieli.

No, a teatromani, a takich jest w Zielonej Górze niemało, mają świetną okazję, by raz jeszcze obejrzeć jakieś ciekawe przedstawienie. Wreszcie, na taki przegląd można za prosić gości, krytyków, recenzentów, czy też tzw. czynniki np. z Centralnego Zarządu Teatrów z Warszawy. Jednym słowem każdy, zamiast śledzić pracę teatru poprzez sześć długich miesięcy może ją zsumować w ciągu jednego tygodnia. Wprawdzie taka kondensacja wrażeń jest nieco nużą-

ca, ale za to doskonale orientuje w osiągnięciach teatru.

A Państwowy Teatr Ziemi Lubuskiej — tak bowiem brzmi jego oficjalna nazwa — ma się czym pochwalić. Może właśnie dlatego tak chętnie organizuje owe przeglądy. Warto wspomnieć, że żaden teatr nie podjął dotychczas tej słusznej i pomyslowej inicjatywy.

Najpierw kilka uwag o repertuarze — urozmaicony: polski, obcy, klasyczny i współczesny. No, może z tą współczesnością nie jest najlepiej. Wprawdzie jest jedna i to nawet pra-premiera, ale dlaczego wybor padł wyłącznie na Barnasia, dlaczego obok niego na liście autorów nie figuruje Małyszewski, Kruczkowski, czy Korcelli? Chyba następny przegląd przyniesie tu zmiany.

W sztuce Kazimierza Barnasia „Pogotowie serc” — autor poruszył bardzo ciekawe zagadnienie: — Jak społeczeństwo, instytucje wychowawcze mogą i powinny kształtować nową socjalistyczną moralność. Akcja sztuki, jej akt I i III — rozgrywa się w Pogotowiu Opiekuńczym dla dziewcząt. Główne postacie — to kierowniczka Pogotowia, młoda kobieta — psycholog oraz zatrzymana dziewczęta. Galeria niestety tylko ilościowo bogata. Brak tu jakiejś zasadniczej autonomii psychologicznej, wszystko bez względu na prawa psychologiczną — służy aż nazbyt jasno postawionej tezie autora.

Całość robi wrażenie dobrego pomysłu, zepsutego przez jakąś zbyt pospieszną i powierzchowną realizację autorską. Natomiast reżyser Stanisław Jaskiewicz i aktorzy włożyli wiele i czasu i pracy, tak, że niektóre błędy sztuki zostały zresztą stonowane. W sumie publiczność zainteresowana problematyką sztuki przyjął ją żywo i serdecznie.

Fredro — wiecznie żywy na naszych scenach — i tu, w Zielonej Górze święcił triumfy, bo który teatr mógłby się o niego bez Fredry? „Gwałtu, co się dzieje” — to pełna humoru, nie pozbawiona i ciekawych, naukowych pojęć, pożeranych przez młodocianą głowę.

I pierwsza (i ostatnia) miłość! Kilkunastoletnia miss Storey. Historia milczy, dlatego uczucie Newtona „przebiegało z wiatrem”, a uczony do końca życia pozostał prerażającym samotny. Być może uważał, że tak jak „system świata można ustalić tylko jeden raz”, tak, i tym bardziej, można kochać — tylko jeden raz. Miss Storey została z czasem panią Vincent, a wytrwały, choć milczący Newton przez całe swe życie w rozmowie z dawną towarzyszką młodości przeżywał skrycie to, co mu tylko zostało: wspomnienie.

Czasem czekał lat dwadzieścia

5 czerwca 1661 — uniwersytet w Cambridge. Wspaniały profesor Barrow, jedyny, w

Również i Roland Głowacki — z niewdzięcznej na ogół roli amanta — wydobyl wiele szczerego komizmu, doskona-

(Dokończenie na str. 3)

(Dokończenie na str. 2)



Jeszcze niedawno temu Tomasz Mann przyjmował życzenia od burmistrza Zurichu dr. Emila Landolta z okazji 80 rocznicy swych urodzin.

Fot. — CAF

utworach. Temat ten przebiega przez całą jego twórczość. Zjawia się on już w pierwszej wielkiej powieści Manna „Buddenbrookowie” (1900). Jest to historia czterech kolejnych pokoleń jednej rodziny mieszczańskiej. Akcja toczy się w ciągu czterdziestu lat. W okresie tym rozpada się patrycjuszowski mieszczaństwo i jego moralność. Jeden z bohaterów powieści, Tomasz Buddenbrook, przeżywa głęboki konflikt między odziedziczonymi zasadami etycznymi a nową moralnością. Ten konflikt pokazuje jest w powieści poprzez kilka postaci — najtraficjniej w przebiegach i zakończeniach klasycznych walkach delikatnego, obdarzonego talentem artystycznym chłopca Hanno.

O roli pisarza w świecie mieszczańskim, o jego konfliktach z otoczeniem mówią opowiadania Manna będące prawdziwymi arcydziełami tej formy, takie jak „Tonio Kröger” (1903), „Tristan” (1903) czy „Śmierć w Wenecji” (1912).

Po pierwszej wojnie światowej następuje głębsza demokratyzacja poglądów Tomasza Manna. „Czarodziejska góra” (1924) jest genialnym obrazem rozkładu społeczeństwa mieszczańskiego i kryzysu inteligencji mieszczańskiej. W tej powieści niejedno może się nam wydać dziś błędem i niepewnością. Jest ona zresztą wyrazem wahań samego pisarza. Ale powieść ta w sposób wspaniały przedstawia w bardzo konkretnym obrazie szwajcarskiego luksusowego sanatorium ideologiczną walkę między życiem i śmiercią, zdrowiem i chorobą, demokracją i reakcją. Główną treścią oszalałymi swym bogactwem „Czarodziejskiej góry” jest duchowy pojedynek o duszę przeciętnego mieszczaństwa niemieckiego Hansa Castorpa między wio-

skim humanistycznym de-

Pochodnia geniuszu nad „niezbadanym oceanem prawdy”

Dr Włodzimierz Krzyżaniak

Z danych biograficznych i ócalałych własnych zapisków Newtona wynika, że przed 290 laty, dokładnie nie poczynszy od dnia 20 maja 1665 roku do listopada 1666 w umyśle uczzonego dojrzewały zasadnicze idee stworzonych przez niego podstaw rachunku różniczkowego i całkowego oraz kształtowały się pierwsze zryby jego genialnego prawa o powszechnym ciążeniu. Ta rocznica daje sposobność przypomnieć Czytelnikom postać niezwykle go człowieka i jednego z najznakomitszych badaczy wszystkich czasów, tym bardziej że jest on prekursorem myśli zmarłego niedawno Alberta Einsteina.

Angielski poeta Aleksander Pope uczcił swego rodaka celnym i znakomitym dwuwierszem, w którym siła metafory idzie o lepsze z trafnością syntezy dzieła Newtona. Otóż i ów epigramat-perłka, parafrazowany też przez Łomonosowa:

Przyrodę, prawa jej krył
noce cień.
Bóg rzekł: Newtonie, bądź!
I stał się dzień.

Zwolennikom umiaru, niechętnym poetyckiej emfazie, pozwolimy sobie tu jeszcze wskazać fragment nagrobku, wzniesionego przez wdzięcznych potomnych nad szczątkami 84-letniego tytana pracy:

„Tu spoczywa sir Izaak Newton — który prawie boskim rozumem pierwszy do-
wiódł prawd na tematy ruchu
planet, drogi komet i przypły-
wów oceanu. Pilny, mądry, do-
kładny interpretator przyrody
— charakterem wyrażał pro-
stotę ewangeliczną. Niech

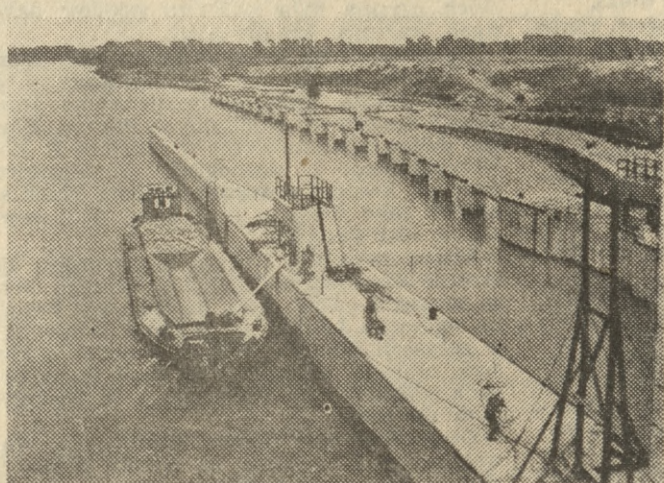
śmiertelni się cieszą, że istniała taka ozdoba rodu ludzkiego. Urodził się 25 grudnia 1642, umarł 20 czerwca 1727.”

Akademik Wawilow, uczeń Lebediewa, powiedział o Newtonie te charakterystyczne słowa: „Przed i po Newtonie, do naszych czasów, nie znała ludzkość naukowego geniuszu o większej sile i długowieczności”. Śmiem twierdzić, że postać Newtona winna wprost prowokować pisarzy do takiej wie romancée, jakie mamy o Michale Buonarroti czy Beethovenie...

I Newton się kochał...

Zapadła wioska Woolsthorpe, niedaleko zamglonych zawsze wybrzeży Angli. Ponury, kamienny domek rozbrzmiewa zgiełkiem i krzątaniem, to Newton dziś po raz pierwszy — „przemawia” do świata. Do-
brze, że brak już ojca, nieokrzesanego dziwaka: cofałby się z niechęcią wobec wątku dziecka, nie szczędząc matce nowej brutalności. Ale naprzeciw białadom otoczenia, licha, przedwczesna istotka, jak skrawek przeciwieństwa plebskiego Izaaka z Biblii, będzie

U węgierskich przyjaciół



Potężne prace wodnoinżynierskie na rzece Cisa i budowa głównego kanału wschodniego przyczynią się do przeobrażenia przyrody na Węgrzech. W okręgu Cisy przeprowadza się obecnie prace nawadniające, zakłada stawy rybne i pola ryżowe, buduje zbiorniki wodne. W budowie jest również elektrownia wodna, która już na jesieni br. da energię elektryczną.

Fot. — CAF

Józef Ratajczak

Przed zachodem

Wśród żółtych liści słońce się gnieździ
wbierając w czerwień przed bliskim odlotem —
na skraj — dęby odlane w miedzi
i płat ozimin chroniony płotem.

Dalej — wioska skupiona przy drodze
pod topolami zrudziałymi kłęk —
gdzie kiedyś — mrąc o chłodzie i głodzie —
na cmentarzysko szła ludzka męka.

Droga barwami zachodu upstrzona
unosi piasek jak dym znad ogniska;
byłoby powrót z ciepłym dniem w wymionach
i traw soczystość wolno жуje w pyskach.

Opada zachód tuż nad pół powierzchnią.
Drząc — rzuca cienie na szerokie liście —
spółdzielca-pastuch łowi echa zmierzchu,
zagasłe echa wierszy Konopnickiej.

Od Dickensa do Szaniawskiego

(Dokończenie ze str. 1)

le zestrojonego z całością sztuki.

Niesposób omówić wszystkie sztuki, jakie mogliśmy zobaczyć na zielonogórskim przeglądzie. Nie można jednak pominąć chyba najciekawszej pozycji, jaką jest „Młodość ojców” Borysa Gorbatawa.

Osiem odsłon, blisko 20-osobowa obsada — to w warunkach tego teatru, a zwłaszcza w objętości — wcale nielatawe zadanie. A mimo to przedstawienie jest dobre, nawet bardzo dobre. Wyczuwa się tu zwartą jednolitą koncepcję realizatorską, wyjątkową zespołowość gry. Anton, Oczkar, Dasza, Fiedia, Natasza — to młodzi komosolowcy, których prowadzi ta sama idea, a jednak jacyś są oni różni, mają inne usposobienia, temperamenty, charaktery; każdy poza tym, że jest ideowym komunistą, jest żywym, czującym człowiekiem. Tak postawił te postacie autor i tak też ujął je reżyser Stanisław Miłski i aktorzy. Wszyscy bez wyjątku młodzi wykonawcy z Kazimierą Nogajówną na czele — są na scenie bardzo prości, nawet wtedy gdy ich czyni zasługą na miano bohaterstwa.

Subtelnie potraktowano wątek miłosny, zręcznie wydobyto bardzo swoisty humor niektórych scen. Spektakl ma od pierwszej do ostatniej sceny wartkie niesłabnące tempo. W sumie jest przykładem — prawdziwie zespołowej i dobrej roboty scenicznej.

Najnowszą sztuką wystawiają przez Teatr Lubuski, a zarazem końcową pozycją przeglądu był „Zeglarz” Jerzego Szaniawskiego w reżyserii Zbigniewa Koczanowicza. Przedstawienie to było szczególnie uroczyste, z uwagi na jubileusz 50-lecia pracy scenicznej jednego z najstarszych aktorów teatru — Bronisława Gałęckiego. Artysta

POZNAŃ — miasto na złotym szlaku

Na półkach poznańskich księgarń ukazała się niedawno ciekawa pozycja literacka. Jest nią wznowienie historycznej powieści dla młodzieży pt. „Miasto na złotym szlaku” — pisma Lucyny Sieciechowiczowej.

Powieść ta zainteresować może szczególnie mieszkańców naszego miasta, jako że akcja jej rozgrywa się w Poznaniu lat trzydziestych XVI wieku.

Autorka zgromadziła bogaty materiał historyczny, przeprowadzając w sposób jasny i popularny analizę stosunków społecznych prądów politycznych i kulturalnych, naświetlając trafnie istotę sporu pomiędzy humanistami a zwolennikami doktryny średniowiecznej Zastugi Sieciechowiczowej jest umiejętnie powiązanie poznawczych celów książki z wymogami powieści młodzieżowej, do których należy i żywa przygodowa akcja. Dzieje Bartka, czeladnika poznańskiego, zbuntowanego syna chłopięcego, trzymają w napięciu uwagę młodego czytelnika, który przez przyrząd losów bohatera poznaje bliżej specyfikę tego ciekawego okresu historycznego.

*) Józef Andrzej Frasiak.

Henryk Barański

Język literacki narodził się nad Wartą

O ile nie budzi wątpliwości fakt, iż Wielkopolska jest kolebką państwowości polskiej, pozostaje spornym zagadnienie pochodzenia polskiego języka literackiego.

Grupa językoznawców z W. Taszyckim na czele chce w Małopolsce widzieć narodziny polskiego języka literackiego. — Natomiast tacy uczeni jak M. Rudnicki, St. Urbańczyk, St. Rospond, Kuraszkiewicz i inni przypisują Wielkopolsce zasługę uformowania języka kulturalnego.

Zainteresowanie się genezą języka literackiego wzrosło w związku z badaniami nad początkami państwowości polskiej i wykopaliskami archeologicznymi o ostatniego ćwierćwiecza. Prace, jakie ukazały się ostatnio, rzucają nowy snop światła na to zagadnienie. Przede wszystkim wielkopolscy uczeni rzutują daleko wstecz — do czasów przedpiastowskich, wiążąc ten problem ze stanowiskiem radzieckich językoznawców dostrzegających tworzenie się języka kulturalnego wraz z rozwojem państwowości na danym obszarze.

Wiemy z badań prehistoryków, że państwowość polska sięga drugie połowy pierwszego 1000-lecia naszej ery, a więc znacznie przed Mieszkim I, i że już wtedy musiały ustalać się pierwsze formy językowe państwowości. Natomiast językoznawcy krakowscy, oprócz K. Nitscha, sięgają czasów późniejszych i zajmują się tu głównie rozwojem języka literackiego w XIV—XV w. Zwolennicy tego poglądu popełniają ten sam błąd, co niektórzy historycy, nie dostrzegający państwowości polskiej przed Mieszkim I.

Jest to zubożenie nas o całą przeszłość kulturalną.

Zagadnieniu pochodzenia polskiego języka literackiego poświęcił ostatnio cenną publikację prof. dr M. Rudnicki na łamach „Przeglądu Zachodniego”. Omówił on najnowsze prace językoznawców, a w szczególności W. Kuraszkiewicza, St. Rospond i Z. Klemensiewicza, dorzucając do nich własne syntetyczne uwagi, będące rozwinięciem jego poprzednich tez. Językoznawcy poznańscy dochodzą do wniosku, że zrebry języka literackiego utworzyły się na ziemi wielkopolskiej.

Co przemawia za ich poglądem? Pierwotnie tzn. w okresie przedhistorycznym istniał język niepodzielony na dany obszar, dialekty powstały później w miarę rozszerzania granic państwa. Przeniesienie państwa polskiego. Czy wiemy, jaki był język z okresu przed-

historycznego? Mamy na to pewne dowody w powstaniu pierwszego aktu państwowego w alfabecie łacińskim Mieszka I z roku 992 w tzw. „Dagomeiudex”, zawierającego już wyrazy polskie. Narzecze wielkopolskie znalazło również odbicie w bulli z roku 1136, którą znamięto lingwista polski A. Brückner nazwał „złotą bullą języka polskiego”.

Narzecze wielkopolskie miały więc akty państwowe i w tym narzeczu uczono w szkołach katedralnych. Siedzibą polskiej hierarchii kościelnej była Wielkopolska, a granice arcybiskupstwa gnieźnieńskiego sięgały aż po Kraków, dialekt więc wielkopolski miał szeroki zasięg geograficzny. Zarządzenia arcybiskupów gnieźnieńskich Pełki i Swinki utrwały w szkołach katedralnych w XIII wieku język wielkopolski.

Niemniej ważnym czynnikiem „przesadzania” języka wielkopolskiego były dwory książęce i królewskie. Piastowie mówili narzeczem wielkopolskim i mowę tę przeniósł Bolesław Chrobry ze swym orszakiem, kiedy go Mieszko I, ojciec powstał do Krakowa jako wielkorządcę. Drugim był Kazimierz Odnowiciel ze swym orszakiem i jego synowie Bolesław Śmiały i Władysław Herman. Ludność Krakowa po lokacji w 1257 roku była przeważnie niemiecka, natomiast dwór książęcy polski. Z Wawelu szły więc mowa wielkopolska na miasto i okolice. Odniemczył Kraków dopiero Władysław Łokietek, ale, jak zauważa prof. dr Rudnicki, jest on synem księcia kujawskiego Kazimierza I i Eufrozyny, księżniczki opolsko-raciborskiej, mówił zatem językiem wielkopolsko-kujawskim. Łokietek był żonaty z Piastówną Kaliską, a więc i dzieci: Kazimierz Wielki, rządzący w Krakowie do 1370 roku i Elżbieta Łokietkówna, późniejsza królowa węgierska, mówili dialektem wielkopolskim. Jadwiga — żona Władysława Jagiełły, wychowywana przez Elżbietę Ło-

Ze starych szpargałów

SPÓR O SKRZYNKĘ Z PRZYWILEJAMI

W XVI wieku zaczął się w Wielkopolsce rozwijać cech postrzygaczy — to jest rzemieślników, którzy zajmowali się wykończaniem sukna, dekatyzacją, usuwaniem śladów transportu i postrzyganiem włosów na tkaninie. Każde miasto miało po jednym lub po dwóch postrzygaczy. Wiadze cechu mieściły się w Poznaniu. Na skrzynkę jednak z przywilejami i innymi aktami mieli apetyt postrzygacze z innych miast, a przede wszystkim postrzygacze z Chwaliszewa (dziś dzielnica Poznania). Jak się stało, trudno dociec, chwaliszewianin skrzynkę z aktami ograbiał. Sprawa oparta się o Radę Miejską Poznania, która rozstrzygnęła spór po salomonowym. I chwaliszewianin i poznańczyk Maciej (który akta wydał) kazali zamknąć w więzienie. A skrzynkę z cennymi dokumentami oddać postrzygaczom poznańskim. (p)

PAN STAROSTA I KUŹNICY

Pan starosta z Grabowa (obecnie pow. Ostrów) — Zaremba powziął zemstę na rodzinie kuźników Rostogów w Kraszewicach za to, że jeden z nich śmiało oskarżył go przed sądem grodzkim za utrudnianie mu produkcji węgla.

W r. 1605 najechał w tej wiosce kuźnicę Pawła Rostoga. Zniszczył mu urządzenia i gospodarstwo, pobrał inwentarz z narzędziami. Nie pozwolił mu też słać na własnej ziemi.

Zaremba po kilku latach urządził najazd na drugą kuźnicę, która należała do wdowy Małgorzaty Rostogówny. Rostogówna stanęła w obronie swojej własności na czele swoich sług. Ale musiała ustąpić pod przewagą szlachty. Spaliło się jej wówczas 600 korcy ziarna i 20 wozów siana. Zaremba zabrał ze sobą służbę wraz z dobytkiem na pańszczyznę do swoich folwarków.

Nie nie pomogły skargi Małgorzaty Rostogówny wniesione do ówczesnych sądów. (p)

BAJKA Z MORAWNICY

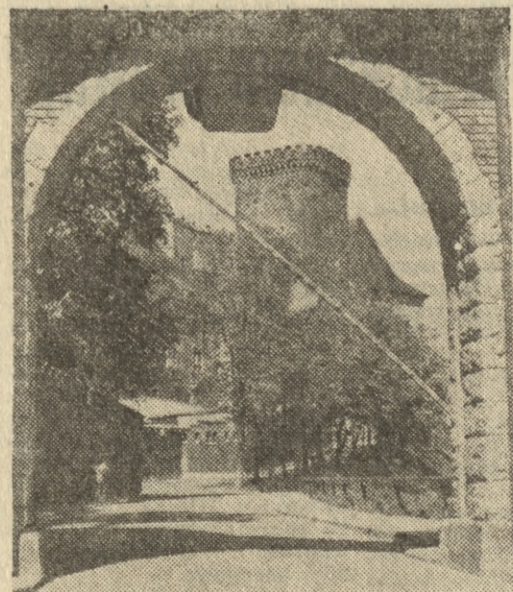
W wydanej w pierwszych latach naszego wieku dziele „Polska w opisie i obrazach” znaleźć można następującą bajkę z Morawnicy (pow. Kościan) napisaną w gwarze.

„Poszedł jeden chłop do boru rąbać drzewo na klofty. A ta kobieta (żona) piekła mu zawsze chleb z popiołu i dawała mu do tego boru. Chleb leżał na pieńku i czart raz przyszedł i wzion ten chleb. Przynosi ten chleb do piekła i pokazuje Janczykrystowi, że bez (przez) ten chleb dzisiaj kogoś ulowi, bo się chłopi będą bili o ten chleb.

Janczykryst odpowiada mu:

— Nie, tak nie idzie! — i zwołał czartów i oni osadzili, że ma on ten chleb chłopa odnieść na to miejsce, skąd wzion i ułożyli karę na czarta, że musiał być w jednym zakonie za chłopa starza siedem lat”. (p)

Kraków w letnim słońcu i... deszczu



Fragment Zamku Wawelskiego. (CAF)

Mury, stare mury, pokryły się wieków troską, burze dziejowe szły tędy, radzili mieszczanie, wojsko — dziś bielejący kamień baszt i w murach ruda [cegła,

okienkami domów milczy przeszłość ubiegła...

Te słowa poety*) przypominają mi się co-rocennie, gdy w wakacyjnej wędrowce letniej zahaczam o gród podwawelski, rozkoszując się architektonicznym pięknem jego zabytków. Tegoroczne, jubileuszowe, dzieł-
siate „Dni Krakowa” obfitowały w przeróżne atrakcje artystyczne.

Dość kapryśna pogoda krzyżowała niejednokrotnie plany organizatorów imprez, przewracając m. in. przedstawienie „Krakowiaków i górali” w wykonaniu zespołu teatralnego im. Leona Schillera z Łodzi na dziedzińcu wawelskim w obecności premiera NRD, Otto Grotewohla. Uroczystość zakończenia sezonu koncertowego Filharmonii Krakowskiej z powodu niezbyt pewnej pogody została w ostatniej chwili przeniesiona z dziedzińca wawelskiego do sali Filharmonii.

Mieszany chór Filharmonii Krakowskiej, laureat II Festiwalu Muzyki Polskiej, miał okazję popisać się dużą rutyną w „Sonetach krymskich” — Moniuszki. Słyszałem ten doskonały zespół w „Requiem” — Mozarta i „Missa solennis” — Beethovena. Wykonanie „Sonetów”, w porównaniu z

amatorskim chórem Poznańskiego Towarzystwa Muzycznego, wykonującym niedawno ten sam utwór — raczej rozczarowało.

Thumy ludzi podziwiali widowisko ludowe ze śpiewami i tańcami pod nazwą „Krakowskie wyrwy” — również na dziedzińcu Wawelu w wykonaniu Robotniczego Zespołu Pieśni i Tańca „Krakowiacy”.

Stary Kraków wyszedł ze swoją twórczością na ulice. W Babakanie, studenci Państw. Wyższej Szkoły Aktorskiej wystawili „Tragedię o polskim Scylurusie”, wystąpił kilkakrotnie oryginalny cygański zespół pieśni i tańca. W plenerze — na za-
bytkowym dziedzińcu w Kolegium Nowodworskiego — Teatr Młodego Widza wystawił „Romantyczny” — Rostanda, a występy chórów dziecięcych: Chóru Chłopców Państw. Filharmonii i Chóru Dziecięcego Młodzieżowego Domu Kultury pod dyr. prof. Szuwary w repertuarze pieśni polskich — były też swoistą atrakcją.

Plastycy krakowscy przygotowali dwie wielkie wystawy związane z historią plastyki krakowskiej i ze słynną szkołą krakowską. Otwarto także w Krakowskim Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych salon plastyki współczesnej, a w starych murach floriańskich czynna była wystawa szkiców dawnych warowni krakowskich.

Ze szczególnym zaciekawieniem oglądałem w Teatrze Poezji „Lato w Nohant” — J. Iwaszkiewicza, wystawione niedawno przez zespół krakowski gościnnie w Paryżu. Bardzo dobre przedstawienie w reżyserii R. Zawistowskiego i scenografii T. Kantora. Świetną kreację stworzyła Halina Kuźniakówna jako Solange oraz Jerzy Kaliszewski w roli Chopina.

Drugą premierą Teatru Muzycznego na terenie Krakowa pod dyr. art. Jerzego Gerta w czasie „Dni” była nastrojowa, liryczna operetka Lehara — „Kraina uśmiechu” w reżyserii Wilama Horzycy z dobrą orkiestrą, chórem, baletem i na ogół także obsadą solistów z M. Borowicką i R. Węgrzynem na czele.

Oczywiście były piękne Wianki pod Wawelem, był i Lajkonik na Rynku Krakowskim i krakowski konny tramwaj... Tradycyjny hejnał z wieży Mariackiej rozbrzmiewał od wczesnych godzin porannych do późna w noc nad dachami krakowskimi i kominami Nowej Huty, zdając się wtórować słowom poety:

„...To miasto ukojał: śpią kamieniczki, zaparte bramy,

od Rynku nocny wiatr niesie okrucy sławy. Tam od Sukiennic, gdzie Kościuszko przysięgał, Sypie się trąbka hejnału i nocny tramwaj sęga...”

TEODOR SMIEŁOWSKI



Uczestnicy V Festiwalu długo pamiętać będą niezapomniane wrażenia wyniesione z występów najróżniejszych zespołów artystycznych. Na zdjęciu: występ rumuńskiego teatru marionetek „Tandrarica”.

CAF — fot. Tymiński

ATOMY pracują w walcowni

...Stalowa taśma z wielką szybkością przebiega przez nowoczesną 300 mm walcarkę. Operator nie spuszcza oka z licznych przyrządów i liczników i równocześnie uważnie przysłuchuje się rzucanym urzykami rozkazom walcownika.

Na tablicy rozbliskuje czerwony sygnał. Momentalnie strzałka na jednym z przyrządów zostaje wprawno na w ruch i po chwili zamiera naprzeciw znajdującego się na skali punktu z napisem: „Armko”. A więc przez walcarkę przechodzi w tej chwili stalowa taśma marki „Armko”. I tak jest zawsze — każda marka stalowej taśmy, która przechodzi przez walcarkę, musi się operatorowi „zameldować”. Zmuszają ją do tego... atomy.

Proces produkcji taśmy posiada przy różnych markach różną technologię. Znakowanie taśm było do niedawna w Leningradzkich Zakładach Walcowniczych im. Mołotowa dalekie od doskonałości: do każdego rulonu przydzielano specjalną tabliczkę z oznaczeniem gatunku stali. A jeśli tabliczka się urwała lub zgubiła, co się łatwo mogło zdarzyć (przecież np. rulony niektórych marek poddawane są dwukrotnemu wyżarzeniu), to trzeba było uciekać się do laboratoryjnej analizy chemicznej. Tylko w jednym z oddziałów Zakładów wydawano na ten cel corocznie od 350 do 500 tysięcy rubli.

W Zakładach już od dawna łamano sobie głowę w jaki sposób unowocześnić znakowanie taśm. Wreszcie zdecydowano zastosować ostatnią nowość w technice: radioaktywne izotopy.

Leningradzcy metalurzy za brali się do pracy wspólnie z pracownikami Instytutu Fizy-

ki Akademii Nauk Łotewskiej SRR.

W jaki sposób przeprowadzone jest znakowanie stalowej taśmy przy pomocy promieniotwórczych izotopów?

Do tego celu zastosowano promieniotwórczy izotop fosforu. Na powierzchnię stalowej taśmy, przed trawieniem jej, nanosi się radioaktywne znaczniki, przy czym każda marka stali posiada różną ich ilość: jeden, dwa, cztery itd. Ani trawienie, ani wyżarzanie, ani też inne procesy produkcyjne nie są w stanie „zerżnąć” z taśmy zrobionych na niej znaczków.

Promienie, wysyłane przez owe znaczniki, chwyta się przez umocowane na walcarkach liczniki bez względu na to z jaką szybkością taśma jest walcowana. To, co chwytają liczniki, jest natychmiast przekazywane na tablicę — do operatora. Jednocześnie specjalny przyrząd samopiszący również rejestruje markę walcowanej w danej chwili stali.

Obecnie, w oddziale walcowania na zimno, istnieje już szereg podobnych urządzeń kontrolnych, które „ogłaszają” marki stali na całej drodze technologicznej obróbki taśmy. Na dużej walcierce nawrotnej, na szybkich walcarkach wielowalkowych, jak również i tam, gdzie odbywa się rozciąganie taśm — wszędzie działają automatycznie i bezbłędnie atomowi kontrolerzy.

Szerokie otwierają się przed nami perspektywy — mówią dziś inżynierowie z Zakładów im. Mołotowa — zastoso-

sowanie nowości techniki, związanych z wykorzystaniem „znaczonej” atomów pomo-

że nam lepiej wykorzystać urządzenia i pozwoli zwiększyć wydajność pracy. A przy tym przynosi już i przyniesie jeszcze w przyszłości duże oszczędności. A więc — wszystko czego nam potrzeba.

M. K.

Sensacja naukowa — Champollion Krety

O tym, że Kreta jest wielką wyspą na Morzu Śródziemnym, wie każdy. O tym, że Champollion (czytaj: Szampolion) był sławnym egiptologiem, który około roku 1820 odczytał hieroglify egipskie, może niektórzy zapomnieli. Ale co ma wspólnego Champollion z Kretą? Właściwie nie. Więc skąd tytuł? Przeczytajcie do końca.

Na początku bież. stulecia wielką sensacją w świecie nauki były sławne wykopaliska uczonego angielskiego Arthura Evansa (zmarł w r. 1941), dokonane na Krecie, szczególnie w miejscowościach Knossos i Phaistos. Wykopaliska te odsłoniły nam ciekawą kulturę o kilkaset lat starszą od tej, jaką znamy z poematów Homera. Dziś prawie każdy podręcznik historii starożytnej zawiera wzmianki o tych luksusowych apartamentach w pałacu w Knossos, wyposażonych w marmurowe łazienki z bieżącą wodą, w centralne ogrzewanie, z pięknymi freskami na ścianach.

Wśród tych licznych wykopalisk uczeni odnaleźli również liczne dokumenty pisane — w postaci tabliczek glinianych, które niszczycielski gdzieś indziej żył, jakim jest ogień, raczej utrwalili. Evans wyróżnił na tych tabliczkach dwa typy pisma: hieroglificzne (czyli obrazkowe) i linearne, przy czym linearne przedstawia dwa systemy, które oznaczono literami A i B. Wielu naukowców uczonych różnych narodowości kusiło się dotąd bezskutecznie o odczytanie tego pisma.

Dopiero niedawno młody architekt angielski Michael Ventris w współpracy z filologiem J. Chadwickiem wpadł na trop, że pismo to kryje w sobie język grecki! Zostało

ono dostosowane do języka greckiego na lądzie greckim i używane przez krótki czas przez najedźców w pałacu w Knossos na Krecie.

Nie będziemy tu opisywać szczegółowo olbrzymich trudności, jakie trzeba było pokonać przy odszyfrowaniu pisma linearnego B. Posługujemy się tu świadomie wyrażeniem „odszyfrowanie”, gdyż Ventris rzeczywiście posługiwał się metodą szyfru, z którą zapoznał się w czasie ostatniej wojny. Chodziło bowiem nie tylko o fonetyczne odczytanie poszczególnych znaków. Duże trudności nasuwała sama ortografia. Nie odróżniano np. k i ch, k i g, i i r, opuszczano na początku i na końcu wyrazu: s itd. Trudności nasterowały przy użyciu pisma sylabicznego również wyrazy, w których stały obok siebie dwie spółgłoski. Stąd np. wspomnianą już miejscowość Knossos w piśmie linearnym B pisze się: ko-no so. Poza tym trzeba sobie uświadomić, że pomiędzy najstarszym znanym nam dotychczas zabytkiem języka greckiego, jakim są poematy Homera, a najmłodszym z tabliczek z pismem linearnym B upłynęło najmniej 500 lat! Jasne więc, że język grecki musiał na przestrzeni tego czasu ulec dużym zmianom i podlegać różnym wpływom.

W każdym razie początek został zrobiony. Na 88 znaków odczytano wprawdzie dopiero 23. Treść odczytanych pism, to przeważnie zestawienia, rachunki, inwentarze, kwity itp.

Hieroglify									
Pismo linearne A									
Pismo linearne B									

Tablica genealogiczna pisma kretańskiego linearnego B.

Wartość i znaczenie dla nauki odczytania pisma linearnego B, choćby w takim stanie, w jakim to zrobiono do dzisiaj, jest oczywiście olbrzymie. Wiemy już teraz na pewno, że mieszkańcy Grecji lądowej z II tysiąclecia byli Grekami. Na czele ich państw stał książę-wódz, zwany anaktem, a obok niego stał lawagetas — przywódca ludu. Obok rolnictwa i pasterstwa bardzo rozwinięte było rzemiosło. Dwór księcia posiadał liczną szereg wykwalifikowanych sług (niewolników?). Bóstwa znane nam z religii Homera, jak Atena, Apollo, Dzeusz, Hera, Dionizos — spotykamy już na tabliczkach z Knossos i Pylos. Imiona bohaterów spotykanych w poematach Homera rozszalały w tamtych czasach zwykły niewolniczy.

Filologowie mają przed sobą jeszcze dużo trudności do pokonania nie tylko w związku z ostatecznym odczytaniem pisma linearnego B, ale i wcześniejszego linearnego A i hieroglificznego. W pracach tych biera dziś udział już również uczeni polscy.

ti - ri - so
ti - ri - po - de

Przykład odcyfrowanej części tabliczki z Pylos, ti-ri-po = greckie tripos (trójnóg); ti-ri-po-de = greckie tripodes (trójnogi).

Rozumiemy teraz już nasz tytuł: Ventris ma dla Krety takie znaczenie, jakie miał Champollion dla pisma hieroglificznego w Egipcie. Odczytanie pisma linearnego B jest dziś w świecie naukowym prawdziwą sensacją.

JAN HOROWSKI

Uczmy się ASTRONOMII

Przez wieki astronomia wydawała się nauką, której zdobycze mogły mieć tylko platoniczny charakter. Pożytek z wyjaśnienia np. budowy mgławicy Andromedy, odległej od nas o 850 tysięcy lat światła, czy choćby bliższej („tylko” 917 mln. km od Słońca) Plutona wydawał się żaden.

Astronomowie doczekali się jednak satysfakcji. Uczni, fachowcy z różnych dziedzin wiedzy, zgadzają się w chwili obecnej całkowicie, że wysłanie w przestrzeń sztucznego satelity Ziemi, a w następnych etapach podróży międzyplanetarnej — to sprawa najbliższych lat. Przygotowania wkraczają w stadium praktycznych poczyną. Pytaniem pasjonującym teraz ludzkość jest nie to, czy uda się człowiekowi wdrzeć w przestrzeń międzyplanetarną, lecz jedy nie — kto pierwszy tego czynu dokona i jakie to praktyczne konsekwencje ludzkości przyniesie.

DO TEGO DOSZLIŚMY...

A przecież wiedza o budowie naszego układu planetarnego o budowie i siłach rządzących wszechświatem do niedawna jeszcze była nader skąpa i ograniczona.

Pasjonująca jest rzecz prześledzenie drogi od pierwszych domysłów i pierwszych teorii, którymi człowiek odpowiadał sobie na podstawowe pytania: co to jest wszechświat i skąd on się wziął? Do obecnych hipotez kosmogonicznych i obecnych teorii z dziedziny astronomii.

Czytając niedawno wydaną przez „Wiedzę Powszechną” książkę: „Narodziny Świata” M. Iwanowskiego, która zawiera opis drogi, wielokrotnie nasuwa się myśl: jakże wielkie przeszkody stały na drodze ludzkiego poznania, ileż razy człowiek miał na po-

zór wszystkie powody, by cofnąć się przed „nieznanym”, ukorzyć się przed „cudem” istnienia wszechświata i zrezygnować „non possumus” zamknąć usta wszystkim pytającym i pragnącym wiedzieć.

Wprawdzie — jak podaje M. Iwanowski — już w XVII wieku Newton obliczył np., że pocisk, który uderzyłby się w powierzchnię Ziemi, przebiegłby na sekundę (nie biorąc pod uwagę oporu powietrza), zaczęby krążyć wokół Ziemi jako mały satelita. Ale z drugiej strony niemal do ostatnich lat nauka nie mogła dać odpowiedzi nawet na tak podstawowe pytanie, jak np. dlaczego Słońce płonie i nie spala się.

ŚLONCE — GIGANTYCZNA BOMBA WODOROWA

Rodził się domysł, że domysłem, hipoteza za hipotezą. Kolejne jednak wykrywał je, jako nie wytrzymałe próby krytyki, ołowek matematyka.

Może Słońce jest stygnącą kulą rozpalonego metalu? Nie, bo w wyniku strat ciepła Słońce musiałoby wystygnąć w przeciągu „śmiesznie” krótkiego czasu: 20–30 milionów lat.

Może „pali się” w toku reakcji chemicznych tak jak węgiel? Nie, albowiem żadna reakcja chemiczna nie może dać temperatury 6000 st., tzn. temperatury panującej na powierzchni Słońca.

Dziś wiemy już, że Słońce jest po prostu gigantyczną bombą wodorową, że czerpie ono swą energię z przemiany wodoru w hel.

Potrąfimy już odpowiedzieć na wiele innych pytań. Choć wiele jeszcze pozostało w sferze „nieznanej” — lepiej poznałmy przestrzeń międzyplanetarną, lepiej rozumiemy procesy i przemiany, które w świecie gwiazd zachodzą. Radziecka hipoteza kosmogoniczna w sposób przekonujący kreśli biografię naszego układu planetarnego. Wszystko — nawet największe tajemnice w rodzaju tajemnic narodzin gwiazd i rozwoju wszechświata — kolejno stają się zrozumiałe, wytłumaczalne.

SANATORIA NA MARSIE?

Dzięki wysiłkowi myśli ludzkiej śmiało sięgającej po tajemnice niebios dziś badacze gwiazdowego wszechświata mogą sobie pozwolić na to, by zastanawiać się, czy przypadkiem na Księżycu nie znajdujemy mchów i porostów nadających się do produkcji szczególnie skutecznych antybiotyków i czy na Marsie nie będziemy budowali w przyszłości sanatoriów, jako że zmiana stopnia oddziaływania na organizm siły ciężkości (na Marsie jest ona mniejsza niż na Ziemi) najprawdopodobniej wybitnie ułatwiłaby leczenie chorób serca i dróg oddechowych.

Do tego doszliśmy...

I jednocześnie doszliśmy do tego, że astronomia staje się jedną z centralnych, jedną z „najmłodniejszych” dyscyplin wiedzy.

I niewątpliwie książki typu „Narodziny Świata” znajdą wielu chętnych czytelników.

Kto wie zresztą, czy za lat kilka człowiek, który nie będzie umiał z pamięci wymienić główne krótkookresowe komety krążące wokół Słońca i opisać np. orbitę Komety Enckego — nie będzie uważany za analfabeta...

JEDR.

Pochodnia geniuszu

(Dokończenie ze str. 1)

którego zapatrzył się młody adept. Kiedy czytamy znamienne wyznaczenie Newtona: „Nie tworzę hipotez”, odnajdujemy wpływ naukowej metody Barrowa.

24-letniemu odkrywcy wystarcza jeden rzut oka na przedstawioną sobie wszelką matematyczną tezę, by ją bezapelacyjnie zbić lub dowieść. Zdumiewa także niepojęta wprost powolność Newtona w publikowaniu swych osiągnięć. Niektóre tezy ogłasza nieraz dopiero po 20 latach.

„Niewiele lub nic nie uda się osiągnąć — wyznaje — jeżeli zechce się być mądrzejszym niż towarzystwo lub mniejszym od niego ignorantem, w jakim się znajduje.”

Wierny tej zasadzie, daleki od tarć politycznych ówczesnej Anglii, zasiadając w Izbie Gmin z tytułu swego autorytetu naukowego tylko raz prosi przez całą kadencję speakera o prawo głosu: żądał zamknięcia okna w sali obrad. To nie anegdota — ale fakt historyczny.

Warkocz Bereniki i klęska

Następuje okres wytężonych badań fizycznych. W r. 1668 powstaje teleskop-reflektor. Newton śledzi przez niego księżyc Jowisza. Praca nad teleskopem jest świadectwem prawdziwie mroźnej i niespożytej wytrwałości badacza. Instrument staje się dumą Anglii. Prawo Newtona powszechnego ciążenia mas sprawdzamy doświadczalnie w niewyobrażalnych odległościach jeszcze 45 milionów „lat światła” w gwiazdozbiórze „Warkocz Bereniki”. Tam, w rojowisku tysięcy mgławic, miliony razy jaśniejszych od słońca, sprawdza się wspaniale teza człowieka, który nigdy dalej, niż na

200 kilometrów nie wychylił nosa poza swój dom rodzinny.

W latach 1669–1672 pochłaniają Newtona badania optyczne. Jest w nich tak zatopiony, że każdą chwilę nie poświęca pracy, uważa za straconą. Zdarza mu się z rozstargnienia wykladać do... pustej sali. Posiłki, podawane przez otoczenie, godzinami stoją nietknięte; przynaglany tylko kilka kęsów, ale zawsze stojąc.

Dzwony zegarów wybijają trzecią w nocy, w pokoju Newtona ciągle płonie światło. Zdawało się, że chce on dotrzeć do granicy wytrzymałości swego organizmu. Nieraz całymi godzinami przemierza wielkimi krokami podłogę swego pokoju. Ściągnięte czoło, napięta myśl. Niebawem rzuca się ku biurku i lwia grzywa na dalsze godziny pochyla się nad rękopisem. Przechodziły jednak okresy osłabienia. Wielki samotnik leżał wtedy tylko po grążony w swych fanatycznych dociekaniach głuchy na ból, obojętny na zmianę dnia i nocy.

Przyszło też wielkie nieszczęście, największe dla urodzonego człowieka nauki, jakim był Newton. Geniusz opłacił je przejściowym obłędem i manią prześladowczą. Po bezsennej, pracowitej nocy, zapomniał zgasić świecę na stole, zarzuconym stosami rękopisów. Wybuchł pożar, a badacz po powrocie stanął już tylko wobec zgłiszcz wieloletniej pracy.

Zapominał... usiąść na krześle

Podstawy analizy nieskończonościowej, „nowa teoria światła i barw”, zgotowały Newtonowi wielki, ale wcale przez niego niepożądany rozgłos. Na gruncie optyki wywiązała się polemika z Hookem. Newton mówi o tym z rozgoryczeniem:

„Przekonałem się, że trzeba bądź nie ogłaszać nic nowego, bądź też tracić wszystkie siły na obronę swego odkrycia...”

Po matematyce i optyce, Newton ma się niebawem zwrócić ku „filozofii przyrody”. Jak

wspomniano na wstępie już wiosną 1665 myśli Newtona zwracała się ku problemom grawitacji. Uczony, nawracając do swej starej namiętności matematyki, ma z czasem przy jej pomocy, jako niezawodne narzędzie, wypowiedzieć na stulecie „ostatnie słowo” fizyki w zakresie mechanicznej koncepcji Wszechświata. Stąd jego fundamentalne dzieło nosi znamienity tytuł: „Matematyczne zasady filozofii przyrody”. Nerwowość pracy tak zawiadła umysłem Newtona, że potrafił pisać, zapomniał... usiąść. W roku 1687 dzieło ukazuje się w druku. Przełomowej roli tej publikacji nie można porównać z żadnym dotychczas odkryciem w historii nauk o przyrodzie Wszechświata. Nawet współczesny czytelnik „Zasad”, obeznany z nowożytną fizyką, nie może się oprzeć uczuciu przytłoczenia wobec genialnej kompozycji, żelaznej konsekwencji, piękna i owocności zastosowanej metody matematycznej oraz doniosłości faktów, których „wcześnie” nikt nie przypuszczał. Sformułowanie pojęć masy, ilości ruchu, matematycznego czasu i przestrzeni, słynnych trzech „praw ruchu”, prawa powszechnej grawitacji mas przeprowadzone są przez Newtona z jemu tylko właściwą precyzją i jednoznacznością.

Tajemniczy szyfr

Newtona, co jest szczegółem mało znanym, oprócz matematyki, optyki, mechaniki i nauki o cieple, pasjonowały też zagadnienia chemii. Rękopisy jego z tej dziedziny miały obejmować kilka tysięcy stron. Warto dodać, że twórca układu okresowego, Mendelejew, był w pewnej mierze „uczniem” Newtona-chemika.

U kresu życia wynikł nieszczęśliwy spór z Leibnizem, filozofem i matematykiem niemieckim, o pierwszeństwo w odkryciu rachunku różniczkowego i całkowitego. Ze stanowiska ścisłości historycznej pierwszeństwo Newtona kwestionowała tylko „nauka” hitlerowska, która cierpiała na swoistą obsesję w „rewindykacji” uczonych-Niemców. Newton nie o-

głosił za życia swych wszystkich osiągnięć matematycznych. Jego „The method of fluxions and infinite series” wyszła dopiero pośmiertnie w roku 1736. W liście skierowanym do Leibniza — Newton szyfrem komunikuje mu istotę swojej metody. Szyfr ten brzmi:

6 aecdae 13 eff 7i 31 9n 40 4gr 4s 9t 12vx.

Treścią szyfru pisanego po łacinie, jest:

„Dane jest równanie, zawierające w sobie wielkości zmienne, — odnaleźć fluksje i odwrotnie”.

Leibniz w swej pierwszej publikacji ze spornego rejonu nieoljalnie przemilcza nazwisko Newtona. Pozostaje jednak zagadką, dlaczego Newton od roku 1665 do śmierci, to jest do roku 1727, nie opublikował swego odkrycia.

„Chłopczyk bawiący się kamyczkami”

Newton zmusił ludzi na całe stulecie do myślenia kategoriami jego „klasycznej” fizyki. Potężny żywot Newtona, tyta na pracowitości i oddania się bez reszty bezinteresownej i zapamiętałej służbie nauki, imponuje jakością i ilością dokonanej pracy. Piękno postawy osobistej, akcentowane tylko przez jedno z Newtona do jednego z przyjaciół na krótko przed śmiercią:

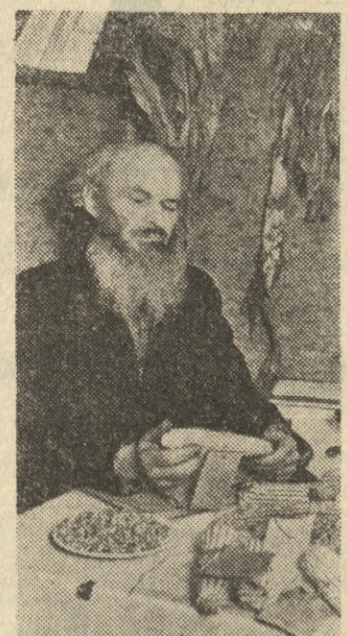
„Nie wiem, czym jestem dla świata, ale uważam się za chłopca bawiącego się brzęgu morza, zaciekawionego tym, że od czasu do czasu znajduje kamyczek bardziej kolorowy niż inne lub czerwoną muszlę, podczas gdy przede mną rozpościera się wielki, niezbadany ocean prawdy.”

Przypomina nam się z Larsena „Kamienia mądrości” wstrząsające „rozwarło” spojrzenie w istotę rzeczy...

Materiały: Newton, Opera, wyd. Horsley, Londyn, st., 1779/85.

Tłumaczenia: „Klasyki nauk”, seria popularno-naukowa Akademii Nauk ZSRR.

Nowe miliony hektarów kukurydzy w ZSRR



Kolchożnik — A. B. Biksnie z kolchozu „Baronis” w Lotewskiej SRR już wiele lat zajmuje się uprawianiem gatunków kukurydzy. Uzyskany w wyniku jego doświadczeń, gatunek kukurydzy „Punduris”, zasiany w maju dojrzewa w początku września i daje 50 q ziarna z ha. Gatunek ten znowy jest w całej Republice. A. B. Biksnie pracuje obecnie nad wyhodowaniem nowego, szybko dojrzewającego gatunku kukurydzy.

*) M. Iwanowski. — „Narodziny Świata”. — Zarys współczesnych poglądów na powstanie i rozwój systemu słonecznego „Wiedza Powszechna”, stron 335. Cena zł 14.

*) „Rok światła jest jednostką odległości, stosowaną w astronomii. Równy on jest drodze przebytej przez światło w ciągu roku. Wartość: 300.000 km×60×60×24×365, czyli około 9 i pół bilion km.

Kulacka ciekawość

— Wiecie, Michale, dopiero co byłem w biurze ubezpieczeniowym.
— Wy ubezpieczyliście się? A od czego?
— Od ognia i gradu.
— Ogień — no, to rozumiem. Ale jak zrobicie grad?
(B)

Sromny

Kierownik GS pyta wiejskiego bogacza, dlaczego nie odwiedził jeszcze zboża na punkt skupu.
— Ano, tak — odpowiada bogacz — jeszcze nie odwiedziłem, bo widziacie, ja już taki skromny jestem od urodzenia... nigdy nie pcham się przed innymi...
(B)

Edmund Knopkiewicz

Awans z przypadku

Przez pomyłkę (tak mi się przynajmniej wydaje) kukulka niedźwiedziowi podrzuciła jaje. Stało się to pod wieczór. Spał właśnie niedźwiadek, wtem poczuł, że go mocno coś ciśnie w pośladek. Bez zwłoki więc z barłogu wstaje, patrzy — jaje. Skąd się — rzekł — ono wzięło? Wiem! Nie jestem ostem! Przecież... to ja je zniósłem! Nazajutrz wszystkie lasy tudzież wszystkie gaje wiedziały już, że niedźwiadek zniósł wieczorem jaje. Na wieść o tym lew zaczął misia awansować, a jaje w skarbcu schować. Niedługo jednak niedźwiadek cieszył się awansem. Raz z sąsiedztwa król słom przybył dyliżansem i do lwa, który był królem wszechpuszczy, rzekł — małomówność swą zmógłszy: „Jak wiadomo, w rozległym mym państwie poddani są z mych rządów niezmiernie ukontentowani, gdyż każdy stoń — proszę Waszej Lwiej Miłości — to bogacz, bo ma nawet kły z stonowej kości. A jak jest u was?” Na to lew odparł dumnie: „Dobrobył, rewelacje — ot, co znajdziesz u mnie”. Następnie dodał na pozór niedbale: „Oprócz bogactw mam misia, który znosi jajka”. Stoń w śmiech: „Ha! Ha! Ha! To jest chyba bajka! Wierzyć mi się nie chce wcale”. „Gdy przekonasz się, królu — powiedział lew skromnie — uwierzysz”. Potem ryknął: „Służba! Służba! Do mnie! Niech niedźwiadek pań-kotek poszuka gdzieś w lesie! Niech chomik jaje z skarbcu zaraz tu przyniesie!” Rozkaz wnet wykonano. Stoń ogląda jaje i mówi: „Podług misia... wydaje się... małe. Czy niedźwiadek ten jajko owo zniósł na pewno?” „Misiu! — rzekł lew — przy świadkach znieś mi jeszcze jedno!” „Nie mogę” — jęknął niedźwiadek tknięty strachu szatłem — „gdyż się w ostatnich dniach zbyt słabo odżywiałem...” A wtem skądś nadleciała kukulka zmęczona i orzekła: „To jaje z mego wyszło łona”. „Łotrze! — ryknął lew, mierząc niedźwiedzia oczyma — twe oszustwo w historii precedensu nie ma! Przeecz!” Kończąc bajkę dodam, że powyższa szopka przypomina mi wiele ludzkich sprawek. Kropka.



Rys G. Miklaszewski

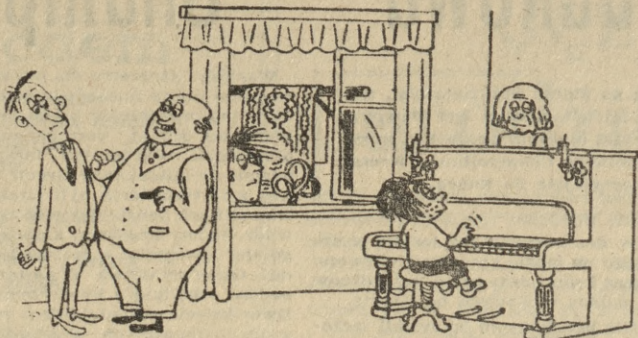
— Pamiętaj, mój synu, że wszystkie kobiety są takie same!...

PAN PODSKAKIEWICZ
NA WCZASACH

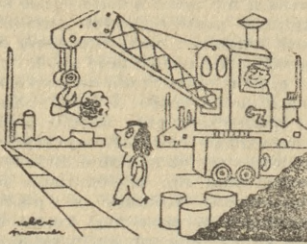
— O, przepraszam, zda się nadeprnąłem na pański cien, panie dyrektorze...
(„Krokodil”)



W zachodnim Berlinie ubodzy studenci wynajmują się do każdej pracy za 1 markę na godzinę.

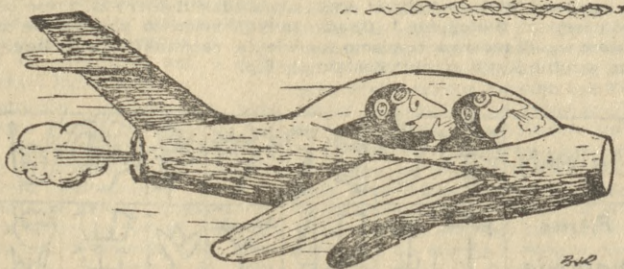


— Do trzepania dywanów bierzemy zawsze studenta konserwatorium: wybija takt i poprawia naszego Hansa.
Rys. Erich Schmitt



Nieśmiały.
(„L'Illustré”)

W EPOCE
ODRZUTOWCÓW



— W ten sposób hamujesz pęd — kichaj do tyłu!
Rys. Karol Baraniecki



Bez podpisu.

Przygoda z doktorem

Pewnego razu G. B. Shaw obudził się znacznie wcześniej niż zwykle. Czuł się trochę niedobrze, zdecydował więc pozostać w łóżku i posłać po lekarza, który też natychmiast przyszedł.

— Tłusty lekarz wszedł do sypialni pisarza bardzo zadyszany. — Te przekłete schody...! — huknął. — Duszę ze mnie wypędzą.

Shaw poprosił go, żeby usiadł. Lekarz stał gładził sobie czoło.

— Boli pana głowa? — zapytał Shaw.

— Tak, zawsze dostaję strasznych bólów głowy, gdy muszę wejść po schodach.

Shaw wyskoczył z łóżka, wyjął z szufladki biurka jakąś pigułkę, którą rozpuścił w szklance wody.

— Niech pan to wypije. To na pewno panu pomoże!

Lekarz usłuchał i wypił. Po dwu minutach Shaw zapytał go:

— Czy już czuje się pan lepiej?

— Dziękuję, o wiele lepiej. Shaw chodził tam i z powrotem po pokoju, potem się odezwał:

— Według mojego zdania pana boli głowa nie z powodu schodów.

— A więc dlaczego?

— Za dużo pan je, doktorze,

za dużo je. Nie jedz pan tyle mięsa.

— A co więc mam jeść?

— Wszystko, tylko nie mięso. Leguminy, owoce... Ile pan ma lat?

— Czterdzieści trzy.

— Czy pan się nie wstydzisz?

Ja jestem dwa razy starszy od pana, a trzy razy zręczniejszy i żwawszy. Czy zauważył pan, jak rzeźko i młodzieńczo wyskoczyłem z łóżka? Jak osiemnastoletni młodzieniec!

— Rzeczywiście bardzo mnie pan zadziwił.

— Czy umie pan tańczyć?

— Niestety, nie umiem.

Shaw nastawił gramofon z wesołą taneczną płytą i zaczął żwawo pisać w takt muzyki. Gdy płyta się skończyła, powiedział: — Gdyby pan codziennie tańczył piętnaście minut, byłby pan tak samo rzeźki i żwawy jak ja. Mnie nigdy głowa nie boli. A teraz, panie doktorze, proszę zapłacić mi pięć szylingów za poradę.

— Przepraszam, szanowny mistrzu — powiedział lekarz uśmiechając się — ale pan mi jest winien dwa funty za wizytę lekarską. Zastosowałem moją znaną metodę leczniczą wobec symulantów. Mówię im, że jestem chory, boli mnie głowa, mam zawroty i brak mi tchu. W dziewięciu przypadkach — na dziesięć, rzekomo chory wstaje z łóżka i stara mi się pomóc. To samo zrobiłem z panem, mister Shaw. Moją metodą wyleczyłem pana natychmiast z urojonej choroby.

Shaw nie nie odpowiedział, przeknął tylko ślinę, potem wystawił czek, który podał lekarzowi.

— Tu jest pańskie honorarium — powiedział. — Podwyższyłem je o trzy funty. Nie tylko za wspaniałą metodę leczniczą, ale i dlatego, że zawsze wysmiewałem się z lekarzy, a pan teraz własnymi moimi dźwiękami wystrychnął mnie na dudka!

Przełożył Fr. Swar

Brak kręgosłupa...

Ostatnio mieliśmy zebranie całej załogi, na którym omawialiśmy sprawę wykonania planu. Dopóki dyrektor o sobiście referował, wszyscy przytakiwali głowami. Oklaski wano referat, gdy dobiegł do końca. Zaledwie jednak przewodniczący otworzył dyskusję nastąpiła cmentarna cisza... Tak trwało mniej więcej pięć minut. Czując się tym ośobiście dotknięty, poprosiłem o głos.

— Koledzy! — rozpocząłem.

— To, co nam tu przedstawił nasz dyrektor jest słuszne... Jednakże dyrektor jest również odpowiedzialny za ujawnione ostatnio braki. Wiadomo przecież, że kierownictwo naszego zakładu nie przedstawiło niczego, co by zmierzało do usunięcia wadliwych skutków. Nic — względnie bardzo mało...

Zacząłem przytaczać przykłady, nie zważając na zdziwione miny moich kolegów, którzy spoglądali raz na mnie, raz na dyrektora, wymieniając między sobą spojrzenia, niczym piłki pingpongowe...

Gdy skończyłem, dyrektor rozmawiał chwilę szeptem z przewodniczącym zebrania i tam na końcu powiedział: „Uwagi naszego kolegi, towarzysze, kierownictwo zakładu rozpatrzy z całą skrupulatnością i podczas następnego zebrania

podda je wszechstronnej dyskusji...”

Zebranie dobiegło końca i wszyscy rozeszli się do domów. Przy najbliższym naradzie czekał już na mnie Gajdos: „Pozwól, że uściśnię cię dłoń...” — odezwał się z niezwykłą serdecznością. — „Właśnie takiego człowieka jakim ty jesteś, od dawna potrzebowaliśmy w naszym zakładzie. Nawiasem mówiąc, nie wiesz nawet, że dyrektor wyjeżdża swoim autem służbowym na wycieczki poza miasto...”

Udałem się do restauracji. Zanim jeszcze zająłem miejsce, do lokalu wszedł Peniaska. „Z ciebie jednak równiak!” — szepnął mi na ucho i rozejrzał się dookoła. — „Zapomniałeś mu jeszcze wypruć, że kierownictwo nie troszczy się w najmniejszym stopniu o kadry... Mnie na przykład odsuwają już od dłuższego czasu... A dlaczego...? Ponieważ nie okazuję przed nim lekku...”

Późnym wieczorem znalazłem się w domu i w momencie gdy kładłem się spać, ktoś zadzwonił. W progu stał mój kolega Makowiczka. — Nie gniewaj się, że ci przeszkadzam, ale popatrz tylko...! Czy nie jest to materiał, którego mógłbyś użyć przeciwko dyrektorowi...?

Rankiem idąc do pracy spotkałem po drodze narzeczoną. „Coś tam znowu narozrabiał? Była u mnie wczoraj pani Ropsorkowa. Kazała tobie powiedzieć, że podczas uprzątnięcia dyrektorskiego gabinetu, znalazła w kacie butelkę po śliwowicy i brudne kieliszki... To mógłbyś też powiedzieć...”

Przy wejściu do zakładu pochwycił mnie za ramię Bole-rasik. „Zapomniałeś zupełnie nadmienić o protekcykach i kumoterstwie... Popatrz tylko, tu...”

Tak szło aż do następnego zebrania. Trzeba przyznać, że dyrektor otwarcie odpowiedział na moje zarzuty, przy czym ustosunkował się do nich, wskazując, w jaki sposób zostały one usunięte. Po tym miała się rozpocząć dyskusja. Zaplanowała jednak cisza. Po dziesięciu minutach, przewodniczący zamknął zebranie.

Z głową nabitą rozmaitymi myślami udałem się wieczorem do gospody. Na naradzie czekał już na mnie Gajdos. „Tylko tyle chciałem tobie powiedzieć — rozpoczął gniewnie — że zawiodłem się na tobie komplementnie...” Bez dalszych słów pozostawił mnie na ulicy.

W lokalu podszedł do mnie Peniaska. — „Z ciebie jest do piero kolega...! I pomyśleć, że w taki sposób potrafiłeś mnie zawieść!”

Makowiczka stoczył się wieczorem do mego mieszkania: „Ty tchórz! Tyle materiału włożyłem Tobie do rąk i tyś nie umiał tego wykorzystać...!” Rano zastąpiła mi drogę narzeczoną. „Kiedy ty wreszcie przestaniesz rozrabiać...? Dzisiaj przyleciała do mnie Ropsorkowa i powiedziała, że jesteś ostatnim krętarzem...”

Bole-rasik zatrzymał mnie przy bramie zakładu, nie podał ręki, mówiąc: „To ci dopiero bohater...! Tchórz z ciebie...”

Wszyscy byli przekonani o jednym: że nie posiadam kręgosłupa.

Z czeskiego opracował:
JOT.



Bez podpisu.

Anekdoty

W towarzystwie, w którym znajdował się Bernard Shaw pewien młodzieniec oznajmił:

— Nie chciałbym być drugim mężem wdowy!

— A chętniej zostalby pan pierwszym mężem? — zapytał go Shaw ironicznie.

— Sławny artysta Garrick i satyryk Foote niechętnie się widzieli. Raz Garrick odwiedził Foota'a i ku swojemu wielkiemu zdumieniu zobaczył na jego biurku swoje popiersie.

— Jak to, pan nie boi się postawić mnie tak blisko swoich pieniędzy? — zapytał artysta.

— Nie — odpowiedział satyryk — dlatego, że pan jest tutaj bez rąk!

Na jednej garden-party Foch pochmurnie zapytał swego sąsiada: — Czy to prawda, monsieur, że nasze damy wydają dwa razy tyle na swoje środki upiększające niż wydaje nasza armia?!

André Maurois odpowiedział mu:

— To jest istotnie prawda, monsieur, ale one odnoszą dwa razy więcej zwycięstw niż wszystkie armie świata razem wzięte. (B)

— Wczoraj byłem na koncercie, gdzie grał pewien pianista, który nie miał jednej ręki...

— To jeszcze nic. Byłem kiedyś w operze, gdzie występowała ta śpiewaczka, która w ogóle nie miała głosu.



Bez słów.
(Aftonbladet)

Traszk

PORZĄDNY

Jego nie zobaczysz na pewno w lokalu — na wskroś jest porządnym — przykładał w każdym calu. On potępią wybrak pijaczyny wszelki. Ale wstał doń kiedy i policz butelki!

RÓWNOWAGA

On myśli za wszystkich. To geniusz, kolego! A coż robią wszyscy? — Pracują za niego...
Włodzimierz Scisłowski

MELOMANOM POZNAŃSKICH KAWIARN

Wy wciąż łakniecie pięknej muzyki. Choć wiem, że miłsze są wam... befsztyki.

O „ZYCZLIWEJ” URZĘDNICZCE

Ona załatwi każdego choćby o zmroku: Codziennie po południu przyjmuje w... szlafroku.
Krysztof Zieliński

ROZBRAJAJĄCA

— Puszkini? — Hm — odrzekła nie bez werwy — Czy to ten, co wynalazł... konserwy?

Konrad Dobberschütz